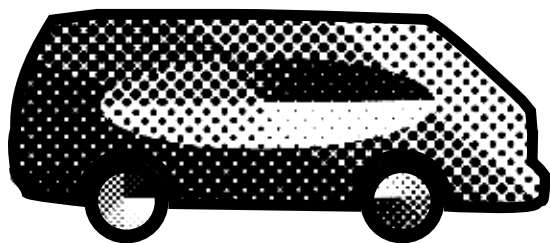


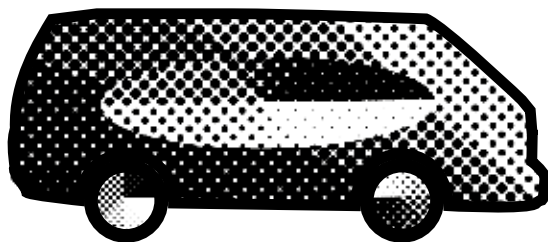
ŚREDNI WSPÓŁCZYNNIK
SZCZĘŚCIA



DAVID MACHADO

ŚREDNI WSPÓŁCZYNNIK SZCZĘŚCIA

z języka portugalskiego przełożył
Wojciech Charchalis



WYSZUKANE

Dla Marii i Martima, przyszłość

*For the ones who had a notion
A notion deep inside
That it ain't no sin to be glad you're alive
I wanna find one face that ain't looking through me
I wanna find one place
I wanna spit in the face of these badlands*

Bruce Springsteen

tytuł oryginału ÍNDICE MÉDIO DE FELICIDADE

copyright © 2013, David Machado e Publicações Dom Quixote
copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Ezop sp. z o.o. 2020
copyright © for the Polish translation by Wojciech Charchalis 2020

projekt serii, okładki i stron tytułowych / Rafał Kucharczuk

redakcja i korekta / Elżbieta Cichy
skład i łamanie / Mariola Cichy

Wydawca:
Wydawnictwo Wyszukane
Imprint Wydawnictwa Ezop sp. z o.o.
01-829 Warszawa, al. Zjednoczenia 1/226
tel. 22 834 17 56, e-mail: redakcja@ezop.com.pl
www.ezop.com.pl

druk i oprawa / Edica Sp. z o.o.

ISBN 978-83-65230-54-6
Warszawa 2020

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego www.ezop.com.pl



Projekt współfinansowany
w ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”

Ten projekt został zrealizowany przy wsparciu finansowym Komisji Europejskiej. Projekt lub publikacja odzwierciedlają jedynie stanowisko ich autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczoną w nich zawartość merytoryczną.

8,0. Szwajcaria

Przede wszystkim, słuchaj, Almodôvar, bo ciebie tu nie było.

Sprawy bardzo szybko się skomplikowały. A może zawsze tak było, może świat nigdy nie był prostym miejscem. Nie wydaje mi się, żeby się taki stał, kiedy poszedłeś siedzieć, chociaż w jakiś sposób to było początkiem wszystkiego. I twoja nieobecność spotęgowała nasze cierpienie, twoja decyzja, że nie chcesz nikogo widzieć, miała swoje konsekwencje. Co oznacza tylko tyle: nie byliśmy przygotowani na to, że ciebie tu nie będzie. Zostawiłeś po sobie wielką pustkę i żadne z nas nie potrafiło się poruszać w tym porzuceniu. Ciebie tu nie było, a my mogliśmy tylko próbować. Nie wiem jeszcze, czy zawiedliśmy. W pewnym momencie historii niewzruszoność twojego milczenia stała się warunkiem koniecznym.

Wyobrażam sobie ciebie w więzieniu. W miejscu, które nie należy do ciebie, w którym musiałeś

się nauczyć żyć i zrozumieć prawa spisane jedynie w oczach otaczających cię ludzi. Czy było trudno? Bolała cię moc ścian wokół? Czułeś przerażenie, stawiając czoło uzbrojonemu spojrzeniu swoich nowych towarzyszy? Tu, na zewnątrz, wszystkim się wydaje, że tak. Podczas pierwszego tygodnia, który tam spędziłeś, Clara dzwoniła do mnie co wieczór, po kolacji, płakała, wstrzymywała oddech, niemal się dusiła, mówiła o tobie „biedaczek”, jakby odnosiła się do małego, ciągle niewinnego dziecka, jakby zbyt wcześnie owdowiała, wzdychała „moja miłość”, pytała: „A jeśli go tam skrzywdzą?”. Twój syn, mały Vasco, który teraz jest już wyższy ode mnie, wracał ze szkoły i zamykał się w pokoju, żeby grać na skrzypcach, nuty porozrzucane po podłodze, cienkie vibrato strun pięło się po ścianach budynku. A Xavier studiował kodeksy karne w internecie, poszukiwał jakiegoś paragrafu, który by cię stamtąd wyciągnął, powtarzał: „Ten facet nie wytrzyma, Daniel, Almodôvar nie nadaje się do siedzenia za kratkami”. Twoi koledzy zebrani przy stolikach kawiarnianych, w restauracjach, kuchniach, stukali się kieliszkami, z entuzjazmem pijąc twoje zdrowie, żeby ukryć przeczucie, że przydarzy ci się coś złego. Nikt nic nie rozumiał. Jak to się mogło wydarzyć? Porządny człowiek, szczery uśmiech, zawsze właściwe słowa. Mąż. Ojciec. Kolega. Każde wyjaśnienie wydawało się wydumane. A ja nieustannie przed wszystkimi cię usprawiedliwiałem, mówiłem: „Miał jakieś tam swoje powody, nie znamy ich, od tego, że poszedł do

więzienia, nie stał się innym człowiekiem”. W tamtym czasie jeszcze nie byłem na ciebie wkurzony.

Teraz jednak wyobrażam sobie ciebie w środku. Wyobrażam sobie twoją twarz i miny. Myśli, które godzinami cię nachodzą. I nie wierzę, że czujesz się przerażony. Nie wierzę też, żeby cię krzywdzili. Wydaje mi się, że masz się tam świetnie. Znalazłeś sobie norę, w której możesz się ukryć, żeby przeczekać tę czarną epokę naszej historii, tę tak długą zimę. Zapadłeś w sen zimowy, ot co, bicie serca zwolnione do granic, trzy posiłki dziennie, komfort otaczających cię murów, niemal wymazane istnienie. Tu, na zewnątrz, życie może zamarznąć, ale w środku twoje ciało utrzymuje ciepło i co lepsze jeszcze, twój duch też. Jesteś jebanym tchórzem, Almodôvar. Kiedyż to twoje życie bardziej się skomplikowało od naszego i zyskałeś prawo, żeby to zrobić? Wiem, że wielu ludzi na ciebie liczyło, zależało od ciebie. W jakiś sposób byłeś odpowiedzialny za tych ludzi. Czy zbyt mocno ciążyło ci to na sercu?

Ja bym zrozumiał. Gdybyś mnie przyjął, kiedy do ciebie przyszedłem, gdybyś odbierał telefony ode mnie, porozmawialibyśmy, wyjaśniłbyś mi wszystko i ja bym zrozumiał, Almodôvar, uchroniłbym cię przed plotkami stąd, z zewnątrz: twój syn, Clara, Xavier, ja, smutek osób, które kochasz, ten kraj powalony na ziemię, cały sypiący się świat, milczałbym o tym, dopóki bym nie zobaczył, że jesteś gotowy, żeby to wszystko usłyszeć, żeby wszystko wiedzieć i poczuć. Odczekałbym, żeby ci opowiedzieć, że w trzy

miesiące po twoim uwięzieniu zostałem bez pracy, że niedługo potem Marta, bezrobotna od prawie pół roku, wyjechała z dziećmi do Viany do Castello do roboty w kawiarni jej ojca, a ja zostałem, bo jeszcze wierzyłem. Chociaż sprawy bardzo szybko się skomplikowały, ciągle wierzyłem. Dobrze by mi zrobiła rozmowa z tobą, może by pomogła, poczekalbym tyle, ile trzeba.

Jesteś jebanym tchórzem, Almodôvar.

Co by nie mówić, nie mam jak inaczej z tobą porozmawiać. A kiedy uznam za stosowne, będziesz miał prawo udzielić odpowiedzi, odpowiedzi możliwej w tych okolicznościach; może nawet nawiążemy rozmowę, będzie (prawie) jak za dawnych czasów. No to jedziemy z tym.

Od dnia, w którym Xavier wyszedł z domu – możemy zacząć od niego. Ten poranek był ważny. Miesiąc wcześniej znalazłem sobie pracę sprzedawcy odkurzaczy. Był to trefny interes od samego początku i już wchodząc w niego, o tym wiedziałem. Jednak nie było nic innego. Zasilek dla bezrobotnych miał skapywać przez jeszcze trzy albo cztery miesiące, a potem już tylko czarna otchłań. Miałem trzydzieści siedem lat, a tymczasem wszystko wyglądało tak, jakby moje życie dotarło do kresu. Oczywiście, że się bałem. Byłem przerażony. Trafiłem na ogłoszenie, że szukają sprzedawców na jakiejś stronie z ogłoszeniami o pracę, wypełniłem formularz i następnego dnia dostałem e-mail z informacją, że mnie wybrali.

Ot tak, bez żadnego spotkania, bez przedstawienia dowodów, że jestem w stanie wykonywać tę robotę. Na szkoleniu wyjaśnili nam, że chodzi o odkurzacze. Prawie się roześmiałem. Almodôvar, ja bym nawet sprzedawał działki na Marsie, gdyby było trzeba.

Xavier wyszedł z domu?

Nie, Almodôvar, jeszcze nie twoja kolej. Poza tym, to opowiadanie będzie miało porządek, jaki ja mu nadam.

Schemat był następujący: firma, która sprzedawała odkurzacze – nazywała się W.R.U., ale nigdy się nie dowiedziałem, co oznaczają te litery – wynajmowała je współpracownikom – mnie i innym wybrańcom – wynajmowała je na tydzień, żebyśmy mogli przeprowadzić pokaz, chociaż jeśli zachodziła taka potrzeba, firma zapewniała wsparcie logistyczne, a ja nigdy się nie dowiedziałem, co to oznacza; nie było żadnej siedziby, tylko magazyn, gdzie chodziłem po odkurzacze, a każdą sprawę załatwiano się przez telefon; nie było umowy – co pozwalało mi dalej inkasować zasilek; dostawałem procent od sprzedaży, pomiędzy siedem i jedenaście procent, za każdy sprzedany odkurzacz, po odliczeniu wynajmu urządzenia. Innymi słowy: musiałem płacić, żeby pracować. Zgodziłem się od ręki.

Łaziłem po mieście i robiłem pokazy. Miałem przemowę wrytą w głowie, doskonale znałem modele z katalogu, zawsze miałem dwa albo trzy odkurzacze w bagażniku. Jednak niełatwo było przekonać ludzi, żeby mnie do siebie wpuścili, mijano wiele dni i nic

się nie działo, jakby świat powoli się zatrzymywał. Od czasu do czasu ktoś otwierał drzwi, pozwalał mi odkurzyć całe mieszkanie, podłogi, ściany, sufity, dywany, zasłony, kanapy, a na koniec wyjaśniał mi, że nie jest zainteresowany. (Sprawy skomplikowały się nie tylko dla ciebie i dla mnie, wszyscy znaleźliśmy się w tej samej czarnej dziurze).

Przeglądałem swoją sieć kontaktów. Przyjaciółki mamy. Moje koleżanki z agencji, w której wcześniej pracowałem. Koleżanki ze szkoły, których nie widziałem od dziesięciu lat. Koledzy też. Marta mi pomogła. Chociaż jest daleko, zadzwoniła do kilku osób, poprosiła przyjaciółki, żeby mnie przyjęły.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie Clara, ktoś jej powiedział, że potrzebuję pomocy przy sprzedaży odkurzaczy, ofiarowała się zorganizować pokaz w waszym domu w zamian za dziesięć procent tego, co ja zarobię. Zgodziłem się. To było dobre popołudnie, sprzedałem dwa odkurzacze. Na koniec Clara mówiła o tobie przez kilka minut, o twojej nieobecności; martwiła się Vaskiem, on nie reagował, jakby jeszcze nie zauważył, że ciebie tu nie ma. Poprosiła, żebym poszedł z nim porozmawiać. Poszedłem, pomyślałem, że mogę to zrobić w ramach podziękowań. Vasco siedział w pokoju i gryzmołił słowa na nutach, coś o śmierci psa. Porozmawialiśmy przez jakieś dziesięć minut, jego głos jest tak podobny do twojego, kiedy miałeś piętnaście lat, te same długie pauzy pomiędzy zdaniem. Rozmawialiśmy przede wszystkim o muzyce, podoba mu się rock z lat 70.,

The Who, Led Zeppelin, Rolling Stones. Uśmiechnął się dwa albo trzy razy, dobrze wyglądał, spokojnie. I ja się obawiałem, że mu to zepsuję, więc nie zadałem mu pytań o życie, o szkołę, dziewczyny, przyjaciół. I nie zapytałem go też o ciebie.

To jest ważne – wierzyłem w możliwość naprawienia wszystkiego, ponownego pochwycenia okrucich życia, które się oderwały, dopasowania ich lepiej do swojego ciała. I nie byłem zły. Wtedy jeszcze nie byłem zły. Musiałem tylko być uważny na sprawy zasadnicze i podążać za nimi, nie zatrzymywać się, żeby oglądać się za siebie, dobrze kalkulować każdy krok. Wierzyłem, że jeśli zrobię wszystko skrupulatnie, życie nie popłącze znowu mojej drogi.

Potem jednak ten zjeb Xavier, który od dziesięciu lat nie wyściubił nosa poza dom, wiecznie ślęczał przed komputerem, roztrząsając głęboki smutek, z którego składa się życie, postanowił wyjść dokładnie tego samego dnia, kiedy ja miałem zrobić pokaz w jednym hotelu w Cascais. Słuchaj, mogłem sprzedać z dziesięć albo piętnaście odkurzaczy za jednym razem, zarobić trochę pieniędzy, zmienić wszystko.

Xavier wyszedł z domu?

Pierwszym gościem, który go zobaczył, był Tuga, trochę po szóstej rano, w pobliżu Centrum; w wiadomości, którą mi przesłał, twierdził, że nie jest pewien, choćby dlatego, że to było wysoce nieprawdopodobne, ale naprawdę wydawało mu się, że to Xavier, w granatowym dresie, w japonkach klapiących mu o pięty, z jak zawsze siwymi włosami. Potem widziało

go jeszcze pięć osób. Wszystkie wysłały mi wiadomość. Jakbym był ojcem Xaviera. Albo jakbym był tobą. Był też telefon od Xaviera, o 5.42, którego nie odebrałem rzecz jasna, bo na noc wyłączam dźwięk komórki.

Zadzwoiłem do niego. Poczekałem, telefon dzwonił bardzo długo. Nie odebrał. Dlatego włożyłem urządzenia do samochodu, sześć pudeł z nowymi modelami, odkurzacze, które są w stanie odessać ci myśli, drogie, jakby wymyślono je w NASA, włożyłem wszystko do samochodu i pojechałem go poszukać. Chociaż o dziewiątej miałem być w tamtym hotelu, kręciłem się po osiedlu, przejechałem po wszystkich ulicach, gdzie według mnie mógł poleźć, wróciłem do miejsc, gdzie bywał, zanim został pierdolonym pustelnikiem, zadzwoniłem do kilku osób, zapytałem czy... Czekaaj, to nieprawda. To nie było tak. Mówię tak, jakbym nie chciał cię rozczarować, jak gdyby dla mnie twoja opinia jeszcze miała znaczenie. Wsiadłem do samochodu, to prawda. Ale nie od razu pojechałem go odszukać. Kiedy wyjeżdżałem z Lizbony w kierunku na Cascais, pamiętam, że pomyślałem: Gdyby chciał się zabić, miał już dość czasu, żeby to zrobić.

Słuchaj, Almodôvar, nie muszę się bronić, ta opowieść nie jest żadnym sądem. Powiem tylko tyle: tamtego poranka, kiedy dostałem wiadomość, że Xavier wyszedł z domu, myślałem tylko o tym, że muszę sprzedać te odkurzacze. Mimo świadomości, że prawdopodobieństwo jego rzucenia się z mostu

jest wysokie. Mimo wiedzy, że w jakiś sposób liczyłeś, że ja będę na niego uważał. Tyle że ja nie jestem taki jak ty – to oczywiste od dawna. A poza tym, nie jestem jego kolegą, tak jak ty. Szczerze mówiąc, ja nawet nie wiem, czy w ogóle jestem jego kolegą. Dawno temu byliśmy kolegami. Potem koleś otulił się mrokiem, wszystkie jego słowa tchnęły grobowym przygnębieniem. I pamiętam, że na niego patrzyłem, siedemnasto- czy osiemnastoletniego dzieciaka pośród innych szesnasto- czy siedemnastoletnich dzieciaków, i myślałem: To nie ma wyjaśnienia, prawa życia takie, jakie znamy, nie usprawiedliwiają istnienia człowieka takiego, jak ten. Depresja Xaviera pojawiła się znikąd. Jakby sam ją sobie wymyślił. Nigdy ci tego nie powiedziałem, ale uważam, że on stworzył tę postać – smutny chłopak ze szpakowatymi włosami, mętne spojrzenie i papieros żarzący się pomiędzy palcami, te tak ponure rysunki w zeszytach, wieczna rozpacz we wszystkim dookoła niego, wygląd nieuchronnego samobójcy – uważam, że on nie czuł się pewnie co do swojej tożsamości, więc wymyślił tę mroczną postać, a potem mu się spodobała albo przyzwyczaił się, albo zagubił się w niej. To bez znaczenia. Koleś stał się taki właśnie, Almodôvar. Całe dni leżał w łóżku i wpatrywał się w pustkę pomiędzy nim i sufitem. Chudy, jakby prowadził strajk głodowy. Tatuaże liczb na ramionach, na plecach i na piersiach, niektóre narysowane przez niego samego. Lekarstwa. Obsesja na punkcie statystyki. Równania matematyczne na ścianach pokoju. Klienci, których

przyjmuje o każdej porze dnia i nocy, żeby tatuować im pająki – w zamian za te nędzne grosze, które ledwie pozwalają mu przeżyć. I brak jakiegokolwiek poczucia przyszłości.

To właśnie ten brak przyszłości mnie przestraszył. Jak on jest w stanie nie myśleć o przyszłości? Jak to jest, że jutro albo przyszły miesiąc, albo za dziesięć lat, nie ciąży mu na duszy? Jak człowiek może wstać rano i nie czuć żadnej nadziei albo niepokoju co do tego, co ma się wydarzyć? Nie umiałem rozmawiać z taką osobą. I, gdy spojrzeć wstecz, wydarzyło się tak: ty zawsze byłeś odporny na nieszczęście Xaviera, twoja zdolność znoszenia jego cynicznych wypowiedzi i absolutnego milczenia była niemal przerażająca, więc ciągle byłeś jego przyjacielem; ja spotykałem się z wami, bo nigdy nie byłem skłonny wyrzec się tego, kim byliśmy. Zawiązywanie nowych przyjaźni było nie do przyjęcia, nie jestem człowiekiem tego pokroju.

A ty chciałeś go uratować. Mówiłeś: „Xavier to artysta, a artyści już tacy są: kręcą się ze śmiercią i z cierpieniem w kółko”. Tyle rozmawialiśmy na temat nieuniknionego samobójstwa Xaviera, że od jakiegoś czasu zacząłem myśleć o tym, jakby już się wydarzyło wiele lat temu, a nie jak o czymś, co dopiero może się wydarzyć. A mimo to chciałeś go uratować, nikt nie mógł przy nim mówić o żadnych nieszczęściach, nie mogliśmy zostawiać go samego, chciałeś być tam, żeby temu zapobiec. Jakby on nie był już w stanie decydować o własnym życiu.

Teraz to się zmieniło: tam w środku nie możesz uratować nikogo.

To prawda. Ale ty możesz.

Mylisz się. Nie zostałem tutaj, żeby zająć twoje miejsce. Poza tym, w przeciwieństwie do ciebie, nigdy nie czułem się odpowiedzialny za życie Xaviera.

A jeśli on strzelił sobie w łeb?

Almodôvar, poprawnie to pytanie brzmi: A kiedy on sobie strzelił w łeb?

A kiedy on sobie strzelił w łeb?

Xavier jest ważną częścią nas. W dniu, w którym strzelił sobie w łeb, pojawi się pustka, której nigdy nie będziemy w stanie zapełnić. Wiem, o czym mówię. Śmierć robi to tym, którzy zostają żywi. Z drugiej strony, nastąpi też wielka ulga, niemal spokój. Ale nawet to nie jest fundamentalne. Fundamentalne jest to: w dniu, w którym on strzelił sobie w łeb, nie będzie tam żadnego z nas, żeby temu zapobiec.

On wyszedł z domu po raz pierwszy od dwunastu lat, a ty pojechałeś do Cascais sprzedawać odkurzacze. Daniel, jesteś pierdolonym egoistą.

Spokojnie, bo tu egoistą akurat jesteś ty, kutasie.

Smutek Xaviera ci nie pasuje, dlatego pozwalasz, żeby zaszył się w ciemnym kącie i skończył ze sobą. I wtedy wreszcie będziesz miał spokój albo poczujesz ulgę. Kurwa, gdyby wszyscy tak myśleli, ta planeta byłaby pustynią.

Xavier, jak każda inna osoba, zasługuje na nasz szacunek. A to wymaga wysiłku, którego ty nie chcesz podjąć.

Kutasio, ty nie masz prawa mówić o wysiłku, skoro odmawiasz spotkania z nami prawie od dwóch lat. A ja się starałem. Nie pojechałem sprzedawać odkurzaczy.

Nie pojechałeś?

Nie. Wjechałem na autostradę. Przejechałem osiem kilometrów. Potem zjechałem i zawróciłem do Lizbony.

Dlaczego?

Prawie dwa miesiące wcześniej byłem u niego. Poprosił mnie, żebym przyszedł. Nasza rozmowa nie skończyła się dobrze.

Leżał na łóżku z komputerem na brzuchu, palce przebiegały po klawiaturze. Była gdzieś czwarta po południu, ale ten pokój wyglądał jak jaskinia, zasłonięte żaluzje, zapalona lampka na podłodze była przykryta koszulą, ściany niknęły w mroku, gęsty dym wisiał przy suficie. I mimo upału połowę ciała przykrył kołdrą. Sączyła się cicha muzyka, dziwaczna muzyka, jakby płaczący wieloryb, wiesz, jak jest. Usłyszał, że wszedłem, ale nie uniósł wzroku, żeby na mnie spojrzeć. Powiedziałem cześć. Nie odpowiedział, tylko wyprostował rękę, zapalony papieros wisiał pomiędzy palcami. Przysiadłem na końcu łóżka i czekałem. Nie wiem, czy kiedyś to zauważyłeś: w pokoju Xaviera czas zwalnia, rzeczy dzieją się wolniej, jakby nasze ciała stawały się gęstsze, jakby nic, żaden gest, żadne zdanie, żadna cisza, tak naprawdę nie miały końca. Po jakichś trzech minutach przemówił:

– Coś zrobiliśmy źle – powiedział.

– Co zrobiliśmy źle?

– *Site* – powiedział. – *Site* nie działa.

Uwierzysz? Ten koleś ciągle męczył sobie głowę stroną internetową. Ciebie nie było tam już od ponad półtora roku, a Xavier dalej martwił się pierdoloną stroną internetową. Bo ty mu to wbiłeś do głowy. Wiecznie gadałeś o stronie, całymi miesiącami, to miał być niezawodny pomysł, mieliśmy sprzedać interes po roku z zyskiem dziesięciu tysięcy procent, spłacić kredyty w banku, zapłacić za naukę dzieci, mieliśmy mieć spokojniejsze życie i w ogóle; i zrobilibyśmy coś dobrego, pomogliśmy ludziom. Tyle razy słyszałem, jak to mówiłeś. Nawet sam uwierzyłem. Wydawało się to świetnym pomysłem. Szczerze mówiąc, dalej wydaje mi się to świetnym pomysłem. Ale prawda jest taka, że ty i ja wsadziliśmy w to pieniądze, pieniądze, których teraz nam brakuje, pieniądze, które być może pozwoliłyby ci nie zrobić tego, co zrobiłeś, i nigdy później tych pieniędzy nie zobaczyliśmy. Xavier zaś miał wykonać całą robotę programisty strony, bezsenne tygodnie, a kiedy wreszcie była gotowa, nic się nie wydarzyło, mijały miesiące i dalej nic się nie działo. On miał rację: *site* nie działała. Tyle że dla mnie to przestało mieć znaczenie wiele miesięcy temu, a w niemal rok później Xavier dalej się tym zadręczał.

Nie chciałem prowadzić tej bezużytecznej rozmowy, ale starałem się zachować cierpliwość.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytałem. – Nie możemy utopić w tym więcej pieniędzy.

Przymknął nieco ekran laptopa i jego twarz przy-
słonił cień. Powiedział:

– Ludzie używają tej strony. Problem w tym, że
żaden z nich nie potrzebuje pomocy.

Krótko mówiąc, problem był taki: my stworzyli-
śmy sieć społeczną, poprzez którą mogą się odnaleźć
ludzie potrzebujący pomocy i ludzie gotowi pomóc;
przez pierwsze jedenaście miesięcy istnienia strony
zapisało się dwadzieścia sześć osób; z tych dwu-
dziestu sześciu czternaście nigdy nic nie napisało,
cztery pisały regularnie, wyjaśniając, że potrzebują
pomocy, żeby walić konia, podetrzeć tyłek, przyciąć
paznokcie u nóg itd., trzy używają strony, żeby za-
chować kontakt pomiędzy sobą i nigdy nie napisały
nic o tym, że potrzebują pomocy; jedna od czasu do
czasu ogłasza, że jest gotowa pomóc, jeśli ktoś jej bę-
dzie potrzebował, w dowolnym miejscu i o dowolnej
porze, i że w tym celu dysponuje furgonetką o dzie-
więciu miejscach.

Dla mnie najważniejszą sprawą było: co to są za
ludzie? Xavier wstał z łóżka, wydawało mi się, że
jego ciało, chude i tak wysokie, zakołysało się, jakby
w pokoju wiał wiatr, zapalił papierosa i wskazał na
zamknięte okno. Zapytał:

- Na zewnątrz ludzie są tacy jak kiedyś?
- Ludzie są zawsze ludźmi – odpowiedziałem.
- Czy są jeszcze ludzie, którzy potrzebują po-
mocy?
- Wszyscy ludzie potrzebują pomocy.
- Dlaczego o nią nie proszą?

– Nie wiem. Może nie znają naszej strony.

Zrobił dwa krótkie kroki i usiadł po mojej stronie łóżka. Jego twarz pojawiła się w smudze mdłego światła lampy, oczy podrażnione ciągle płynącymi łzami. Tymczasem, kiedy przemówił, głos miał mocny, jakby burza w całości rozgrywała się w jego wnętrzu.

– Boję się tego, co się wydarzy, kiedy ktoś wreszcie poprosi o pomoc.

Ale nie wydawał się wystraszony. Powiedziałem:

– Przynajmniej zawsze będzie furgonetka z dziewczynami miejscami.

Machnął ręką, w której trzymał papierosa, i dym rozpląnął się w ciemności na wszystkie strony. Nie zaśmiał się.

– Musimy sami napisać prośbę o pomoc – powiedział.

Słuchaj, w tamtej chwili mogłem wstać i wyjść. A mimo to zostałem – bo ty byś został na moim miejscu – i wysłuchałem pomysłu Xaviera.

Chciał stworzyć konto na stronie, używając fałszywych danych, i potem napisać z prośbą o pomoc, coś prostego, uszczelnić okno, zaprowadzić psa do weterynarza, tylko po to, żeby zyskać pewność, że ktoś odpowie.

– A jeśli naprawdę pojawi się ktoś z pomocą? – zapytałem.

– Porozmawiasz z człowiekiem i ustalicie, w czym ma pomóc.

– Ja?

– Nie potrzebujesz żadnej pomocy?

– Nie.

– Właśnie powiedziałeś, że wszyscy potrzebują pomocy.

– Nikt mi nie uwierzy, że potrzebuję pomocy.

– Jeśli powiesz prawdę, dlaczego nie?

– Dlaczego ty nie poprosisz o pomoc?

– Ja nie mogę wychodzić z domu.

– Możesz poprosić o pomoc w domu. Powiesz, że nie możesz wyjść, że potrzebujesz kogoś do przyniesienia ci zakupów ze sklepu.

– Mama przynosi mi zakupy ze sklepu.

– Poprosisz o coś innego. O piezzonego kurczaka. Gazetę. Perukę.

Milczał przez długi czas, poruszał ustami, jakby dokonywał skomplikowanych obliczeń w pamięci. Potem powiedział:

– Jeśli ktoś przyjdzie mi pomóc, możesz tutaj być?

– Kurwa, Xavier, to jest absurdalne.

– Nie jest.

– Zapomnij o stronie.

– Zapomnę. Zrobimy to tylko po to, żeby sprawdzić, czy ktoś odpowie. A potem zapomnę.

Zastanowiłem się nad tym przez kilka sekund. To było strasznie głupie i nie chciałem tego zrobić. Ty i ja przez dwie trzecie życia zaspokajaliśmy najdurniejsze zachcianki tego kutasa, tylko dlatego że obawialiśmy się, co może się wydarzyć, kiedy mu odmówimy. Prawda jednak jest taka, że Xavier jest już dość dorosły, żeby od czasu do czasu usłyszeć „nie”.

– W porządku, powiedziałem. Będę tu, jak przyjdą ci pomóc.

I zmusiłem się do zapamiętania tej chwili, wagi tej obietnicy.

Xavier westchnął, jakbym właśnie uratował mu życie.

Wstałem, głowa pełna ołowiu. Tak mi się zawsze zdarza, kiedy go widzę: wchodzę niesiony naiwną otuchą, wierzę, że dobrze będzie go zobaczyć, że będziemy rozmawiać długimi godzinami, jak za dziecięcych czasów, a potem, w kilka minut czuję wiszący w powietrzu smutek, zmieszany z dymem i mrokiem, i myślę tylko o tym, żeby jak najszybciej stamtąd wyjść. Xavier nauczył się wyczuwać te impulsy, jakby tam w środku miał zdolność widzenia poza to, co widzialne. Powiedział:

– Możesz zapalić światło.

Nie zareagowałem. Podeszedłem do biurka. Papiery były ułożone w pięć albo sześć stosów: równania napisane odręcznie, pojedyncze numery, to co zwykle. Leżała tam kartka z tabelką zajmującą całą stronę. Nie była to rzecz niezwykajna w tym pokoju, nawet na ścianach wisiały tabele przyklejone taśmą klejącą. Ale, słuchaj, tytuł tej tabeli brzmiał: WSPÓŁCZYNNIK SZCZĘŚCIA.

– Co to jest?

Odpowiedział tylko:

– Statystyka.

Wziąłem kartkę do rąk i odwróciłem ją. Tabela ciągnęła się na drugiej stronie. Była to lista krajów,

149 krajów, uorganizowanych według średniego współczynnika szczęścia. Na pierwszym miejscu uplasowała się Kostaryka, ostatnie było Togo. Linie 127, 128, 129 i 130 tabeli – odpowiednio Bułgaria, Burkina Faso, Kongo i Wybrzeże Kości Słoniowej – zostały podkreślone zielonym pisakiem.

– Co to jest średni współczynnik szczęścia? – zapytałem.

Xavier padł do tyłu i rozciągnął się na kołdrze, ręka trzymająca papierosa zwisała poza łóżko. Zamknął oczy.

– To nie jest bardzo interesująca statystyka, bo brakuje jej obiektywności – odpowiedział. – Ale jest najlepsza, jaką mamy. Prawdę mówiąc opiera się na kwestionariuszu z jednym jedynym pytaniem: „W skali od 0 do 10, jak zadowolony z życia jako całości czujesz się w tej chwili?”. – Zaciągnął się papierosem. Dym powoli wypłynął mu nosem. Potem dodał: – Przypuszczam, że większość ludzi odpowiada na to pytanie frywolnie, choćby dlatego, że większość osób nie ma pojęcia o szczęściu.

Uwierzyłybyś, Almodôvar. Ten kutas Xavier, koleś najbardziej nieszczęśliwy w całym mieście, człowiek z czarną duszą, robi z siebie guru szczęścia? Wiesz, w tamtej chwili mógłbym zniszczyć gościa trzema albo czterema zdaniem. A zamiast tego zapytałem:

– Co się dzieje w Bułgarii, Burkina Faso, w Kongu i na Wybrzeżu Kości Słoniowej?

– W tych krajach średni współczynnik szczęścia jest równy mojej odpowiedzi w kwestionariuszu.

– Ty odpowiedziałeś na ten kwestionariusz?

– Oczywiście.

Ciągle leżał na łóżku, nieruchomy, pionowy papieros tkwił mu w ustach. Otworzył oczy. Potem ponownie je zamknął. Zadałem jedyne pytanie, które wpadło mi do głowy:

– Dlaczego?

– Bo lubię kwantyfikować rzeczy należące do życia i do świata. Znasz mnie.

– Nie boisz się tego, co ta wartość może oznaczać?

– Bardziej się boję tego, że nie znam wartości.

– ...

– ...

– A teraz?

– Co a teraz?

– A teraz: twój poziom zadowolenia z życia wynosi 4,4 z 10. Co to oznacza?

– Dokładnie rzecz ujmując, moja odpowiedź to: 4,43672. I między innymi oznacza to, że powinienem przeprowadzić się do Bułgarii albo do Burkina Faso, albo do Konga, albo na Wybrzeże Kości Słoniowej.

– Dlaczego?

Xavier przewrócił się na łóżku, wyciągnął się i zgasił papierosa na pełnym niedopałków spodku stojącym na szafce nocnej.

– Mam swoją teorię – powiedział.

– Opowiedz.

I, słuchaj, to była prawda. Nie zdarzało się od dawna, ale nagle, w tamtej chwili, byłem naprawdę zainteresowany tym, co Xavier ma do powiedzenia.

– Człowiek przenosi się do kraju, w którym średni współczynnik szczęścia jest taki sam jak jego – zaczął.
– Znajdując się w otoczeniu ludzi, którzy są, przynajmniej co do średniej, szczęśliwi w takim samym stopniu co on, człowiek będzie się czuł bardziej zintegrowany z tą nową społecznością, bardziej zrealizowany, mając to, co ma. Innymi słowy: będzie szczęśliwszy. Czyli: jego średni współczynnik szczęścia wzrośnie, stanie się wyższy niż średni wskaźnik tego kraju i taki sam, jak w jakimś innym kraju, znajdującym się wyżej w tabeli. Wtedy ten człowiek powinien przenieść się do tego nowego kraju, choćby dlatego, że już nie czuje się zintegrowany z populacją kraju, w którym jest. W nowym kraju człowiek znowu czuje się absolutnie zintegrowany, co sprawia, że jego średni współczynnik szczęścia znowu rośnie, zmuszając go do kolejnej przeprowadzki do jakiegoś kraju wyżej w tabeli. I tak dalej. Wreszcie człowiek ten kończy, mieszkając w kraju na szczycie, i staje się tak szczęśliwy, jak to jest fizycznie możliwe na tej planecie.

Zapadła cisza.

– Wierzysz w to? – zapytałem w końcu.

– To teoria. Nawet ja wiem, że sprawy nie są aż tak proste.

– Czyli że nie przeprowadzisz się do Burkina Faso?

– Prawdopodobnie nie.

– Nie chcesz pójść w górę tabelki?

– Oczywiście, że chcę. Czy nie tego wszyscy chcemy? Tyle że najpierw musiałbym wyjść z tego pokoju. A to by spowodowało natychmiastowy spadek

mojego współczynnika szczęścia. – Zawiesił głos i spojrzął na mnie. Potem dodał: – 4,4 to już i tak dość nisko. Jeśli ta wartość spadnie jeszcze bardziej, może zrobić się niebezpiecznie.

Stwierdził to głosem ociekającym sarkazmem. Tymczasem zabrzmiało to jak uniwersalna formuła matematyczna. Powiedziałem:

– Chcę odpowiedzieć na kwestionariusz.

– Śmiało – zachęcił mnie Xavier. I zapalił następnego papierosa.

– Jakie to było pytanie?

– W skali od 0 do 10, jak zadowolony z życia jako całości czujesz się w tej chwili? – Potem dodał: – Nie odpowiadaj pochopnie, Danielu.

Postarałem się pomyśleć o wszystkim: o Marcie i dzieciakach, o bezrobociu, o pieniądzach, które się kończyły, o Planie, o moim obrazie odbitym w lustrze tego poranka. Na koniec powiedziałem: 8.

Xavier spojrzął na mnie zaskoczony. Zapytał:

– Co to jest?

– Moja odpowiedź. **8,0**.

– Powiedziałem ci, żebyś nie działał pochopnie.

– Nie działałem pochopnie.

– Siedziałeś cicho przez trzy minuty, a potem rzuciłeś liczbę, która rzekomo ma określać poziom twojego zadowolenia z życia.

– To moja liczba.

– I w trzy minuty przeanalizowałeś całą swoją egzystencję, przeliczyłeś wszystko, wzięłeś pod uwagę wszystkie zmienne?

– Tak. Tak mi się wydaje. Ile czasu ty się zastanawiałeś?

– Kurwa, Daniel, ja siedzę nad tym od dwóch tygodni i mimo to czuję, że jeszcze nie pomyślałem o wszystkim.

– Dwa tygodnie, Xavier? To nie jest zadanie matematyczne.

– W sumie, to nawet jest. Ale przede wszystkim to jest twoje życie. Nie możesz go rozwiązywać w trzy minuty. Powtarzam: większość ludzi nie ma zielonego pojęcia o szczęściu.

– Twoja odpowiedź to 4,4 i to ja nie mam pojęcia o szczęściu.

– Źle mnie interpretujesz, Danielu. Nie powiedziałem, że nie odczuwasz szczęścia. Czujesz. Tylko nie rozumiesz.

– A ty rozumiesz?

– Ja rozumiem swoje szczęście. To równanie, jak każde inne, które musiałem wypełnić zmiennymi i stałymi, i ich wagą, a potem połączyć wszystko odpowiednimi znakami.

– Zmiennymi? Jakimi zmiennymi?

– Przyjaciele. Miłość. Czas. Marzenia. Pragnienie. Bóle brzucha. Nadzieja. Zazdrość. Smak jedzenia. Tego rodzaju pierdołami.

Zaśmiałem się.

– Nie możesz tego kwantyfikować – powiedziałem.

– Jeśli możesz kwantyfikować szczęście, możesz równie dobrze kwantyfikować tęsknotę za czasami,

gdy miałeś osiem lat, strach przed pocałowaniem kogoś. To oczywiste, że niektóre z tych zmiennych mogą być znalezione tylko poprzez uprzednie rozwiązanie innych równań. To system, tak naprawdę. Skomplikowany. Ale to życie jest skomplikowane, Danielu.

Serio, Almodôvar, bezczelny był ten kutas.

– I tym się zajmujesz, siedząc tutaj przez cały dzień? Siadasz w ciemności i przypisujesz wartości sprawom życiowym?

Nie odpowiedział. Patrzył na mnie przez jakiś czas. Potem zaskoczony spytał:

– Jesteś zły? Dlaczego jesteś zły?

Nie odpowiedziałem. Spojrzałem na kartkę papieru w swoich rękach. Przebiegłem po niej oczami. Potem znalazłem to, czego szukałem: Szwajcaria, czwarty kraj na liście. Średni indeks szczęścia w Szwajcarii wynosił 8, tak jak moja odpowiedź. Nie chcę mieszkać w Szwajcarii, pomyślałem. Potem ponownie spojrzałem na Xaviera i zapytałem:

– Co ty masz do obliczania, Xavier? Jesteś tu zamknięty od dwunastu lat, co ci jeszcze zostało do przeliczenia?

Powiedziałem to, jednocześnie rozumiejąc niemożność podtrzymania swojego argumentu. Miał bardzo wiele do przeliczenia.

Xavier usiadł znowu na łóżku z nogami na zewnątrz i przez bardzo długi czas gapił się w podłogę w poszukiwaniu odpowiednich słów, które uzasadniłyby jego istnienie.

– Wiem, powiedział w końcu. Nie ma tego dużo. Ale mimo to jest to życie. Dopóki moje serce bije, to jest życie. To moje życie. I wiedza, ile dokładnie jest warte, wydaje mi się ważna. Przynajmniej nie żyję w iluzji.

– A ja żyję w jakiejś iluzji?

Usta Xaviera lekko zadrżały, po czym odpowiedział:

– Tak.

– Idź się jebać, kutasie. Nie jestem Almodovarem, nie muszę znosić twojego pierdolenia.

– Jeśli chcesz, pomogę ci rozwiązać twoje równanie.

– Co za równanie, Xavier? Nie ma żadnego wzoru na szczęście.

Skinął głową, ale nic nie powiedział, pełna napięcia cisza, trudna do wyjaśnienia.

– Muszę iść – powiedziałem.

I wyszedłem.

Nie wróciłem tam. Przyzwyczajiliśmy się do rozmawiania z nim, jakby był ze szkła, jakby co ostrzejsze słowa mogły odłupać kawałki z jego ciała albo nawet go stłuc. Wyobraziłem go sobie w kawałkach na łóżku. Wyobraziłem sobie, że matka znajduje go stłuczonego na łóżku, stara się posklejać te drobiiny, stara się poskładać syna, wiedząc, że jego rozpadnięcie się na kawałki jest tylko kwestią czasu. Ale nie poszedłem tam. Nie zadzwoniłem. Przestał mi wysyłać wiadomości na telefon. Niemal miesiąc później dostałem od niego e-mail, raport na temat strony. Stworzył konto użytkownika pod fałszywym

nazwiskiem i zostawił prośbę o pomoc przy wymianie bezpiecznika. Nikt nie odpowiedział. Minęły tygodnie. Żartownisie, którzy odwiedzali naszą stronę, nie znaleźli powodu, żeby cokolwiek napisać. Osoba, która ofiarowała swoją furgonetkę z dziewięcioma miejscami, nie dała żadnego znaku życia. Może już nie miała ochoty pomagać, może nie umiała wymienić bezpiecznika. Na koniec e-maila Xavier napisał: „Poddaję się”. Uznałem, że mówi o stronie, ale naprawdę mógł mówić albo odnosić się do wszystkiego. Mimo to nie poszedłem go zobaczyć.

To prawda, że miałem dosyć pierdolenia Xaviera. Ale to nie dlatego do niego nie poszedłem. Zrozum jedno: byłem zajęty walką o odbudowanie własnego życia. Chociaż sprawy coraz bardziej się waliły. Pieniądze, które zarabiałem na odkurzacach, nie starczały na wszystkie wydatki, nawet wtedy, gdy zacząłem palić połowę papierosów, nawet po zrezygnowaniu z opłacania telewizji kablowej i telefonu, i ubezpieczenia zdrowotnego, nawet po tym, jak przestałem jadać na mieście, kupować ubrania, chodzić do kina, wychodzić wieczorami na piwo, nawet po skróceniu listy zakupów w supermarkecie do produktów podstawowych i elementarnych. Spróbowałem renegocjować z bankiem raty spłaty kredytu za mieszkanie, ale to okazało się ślepą uliczką. Wszyscy robili to samo, bogaci i biedni.

Ale nie chodziło wyłącznie o pieniądze. Brakowało mi Marty, ciężaru jej ciała po drugiej stronie materaca nocą, jej oczu, kiedy słuchała mnie wieczorem,

gdy już położyliśmy dzieci, pewności jej słów. Kiedy rozmawialiśmy, kiedy siebie widzieliśmy, wysilałem się, żeby jej pokazać, że wszystko jest w porządku, że odległość nie ma na nas wpływu, że nasze kłopoty z pieniędzmi i moja sytuacja są przejściowe, że to swego rodzaju wakacje. Ona robiła to samo. I podczas tych pierwszych miesięcy wydawało się, że wszystko naprawdę jest w porządku. Ale być może nie było. A dzieci? Tęsknota za dziećmi to były lodowe kamienie, które nosiłem w piersiach, jakbym nagle nie mógł oddychać.

Co miesiąc wsiadałem w samochód i jechałem do Viany. Moi teściowie są właścicielami dwóch małych mieszkań w tym samym budynku w centrum miasta, mieszkają na parterze, a na drugim piętrze, w mieszkaniu do wynajęcia jeszcze przed rokiem, mieszka Marta z dziećmi. Spacerowaliśmy po plaży w silnym wietrze, jedliśmy obiad w restauracjach z widokiem na morze, nocą dzieci przychodziły nam do łóżka, kładły się pomiędzy mną i Martą, zwierzo o czterech głowach pod kołdrą. A potem wracałem do Lizbony i codziennie rozmawialiśmy przez internet, czasem z obrazem i w ogóle, prawie jakbyśmy byli razem. Ale to nie wystarczało, pragnienie, żeby ich wąchać ciągle istniało. I pomiędzy mną i nimi rosła fosa, przytłaczająca oczywistość. Oni nic nie mówili, rozumieli sytuację, nigdy nie poczułem, że mnie winią za tę separację. Prawda jednak jest taka, że coś się zmieniło. Zwłaszcza z Flor: nie patrzyła w kamerę, kiedy rozmawialiśmy, i pisała tylko tymi skrótami,

słowa pełnymi LOL, angielskich terminów, obrazków pośrodku zdania, których znaczenia zupełnie nie rozumiem. Spróbowałem sobie przypomnieć, jak to było, kiedy miałem trzynaście lat. Czy byłem do niej podobny? Nie wiem, moje wspomnienia są zbyt przeciwstawne, żeby w nie wierzyć. Z Mateusem było łatwiej: rozmawialiśmy niewiele, ale graliśmy w gry online, wymienialiśmy się filmikami, to była forma komunikacji. I chociaż krótkie, nasze rozmowy osiągały szczerość, jaka w tamtej sytuacji wydawała się niemożliwa, słowa mojego dziewięcioletniego syna, tak realne i pełne znaczenia, czasem zbyt celne.

Pewnego dnia przerwałem grę z Mateusem (rzucaliśmy tortami w twarz Madonny) i napisałem: „W skali od 0 do 10, jak bardzo jesteś zadowolony z całego swojego życia?”. Nie odzywał się bardzo długo, pomyślałem, że pisze jakąś długą odpowiedź. W końcu napisał: „Trudne pytanie, jutro ci powiem”. Jednak odpowiedział mi dopiero w cztery dni później: „6,8 :)”. Co oznaczało, że ja, bezrobotny, żyjący daleko od rodziny, z przyjacielem w więzieniu, drugim, który właśnie miał skończyć ze sobą – byłem szczęśliwszy niż mój syn. A mimo to on był zadowolony ze swojej liczby – Mateus nie używa uśmiechniętych buziek bez powodu, jak jego siostra. Ta myśl sprawiła, że moje 8,0 zadrżało. Zrozumiałem, że szukając tej liczby, nie wziąłem pod uwagę szczęścia dzieci. Przez chwilę starałem się sobie przypomnieć inne rzeczy, których być może nie uwzględniłem w równaniu – żeby użyć terminu Xaviera. Pomyślałem: bezsenność;

gdybym zliczył wszystkie bezsenne noce, moja liczba spadłaby w dół przynajmniej o dwie albo trzy dziesiąte. Wysiłem się, żeby znaleźć coś, co znowu podniesie mój współczynnik szczęścia. Pomyślałem: sytuacja z sercem – ostatnie badanie wykazało u mnie serce człowieka o sześć lat młodszego ode mnie. Wydawało mi się, że to wystarczy.

Ale do rzeczy. To tylko po to, żeby ci powiedzieć, że w dniu, w którym Xavier wyszedł z domu, obawiałem się, co to wszystko, co mu powiedziałem w naszej rozmowie, mogło spowodować. Almodôvar, gdyby on chciał się zabić, nie przeszkadzałbym mu. Ale nie chcę też być odpowiedzialny za to wydarzenie. To dlatego wróciłem.

Daniel, cofam to, co powiedziałem. Nie jesteś pierdolonym egoistą. Jesteś egocentrykiem jak chuj.

Wróćmy do dnia, w którym Xavier wyszedł z domu. Zajechałem znowu na dzielnicę trochę po 9.30. Zatrzymałem samochód. Zadzwoiłem do niego na komórkę. Odebrała matka. Była u niego, ktoś jej powiedział, że syn wyszedł z domu, więc tam poleciała. Jego ciągle nie było. Nikt nie wiedział, gdzie jest, wyszedł bez telefonu. Płakała. Nie zapytałem, dlaczego płacze. Powiedziałem tylko:

– Spokojnie. Odnajdę go.

Wyobraziłem sobie, jak to jest być Xavierem, wleć myśli, które on wlece, czuć serce podskakujące mu na najmniejsze zamieszanie w okolicy. Wyobraziłem sobie, że przez dwanaście lat siedziałem zamknięty